

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie w mi jscu 1456·— Marek, z przes. 1482 — Mk. Półrocznie 2964 — Mk. Rocznie 5928·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.
Zmiana adresu 1 Markę.
Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódź, Piotrkowska 81.
Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 120 Marek.
Rok XIX. Kraków, 10 czerwca 1922. Nr. 23.

Straszna katastrofa budowlana we Lwowie

Trzypiętrowy dom przy ul. Krakowskiej l. 8, który zawalił się w dniu 2-go czerwca b. r, pociągając za sobą śmierć siedmnastu osób. (Patrz artykuł na str. 11.

Zgon zasłużonego obywatela.

Dzień 31. maja b. r. okrył ciężką żałobą społeczeństwo polskie bez różnicy zapatrywań politycznych. We Lwowie zmarł skutkiem zapalenia płuc po recydywie tyfusu jeden z najzasłużeńszych i najgoręcej kochających kraj obywateli, Aleksander hr. Skarbek. Politycznie przynależny do narodowej demokracyi, cieszył się Zmarły ogólnym szacunkiem wśród wszystkich warstw naszego społeczeństwa, które umiały ocenić Jego bezinteresowne oddanie się służbie ogółu, czystość zasad, prawość i nieskazitelność charakteru, czem imponował nawet swym przeciwnikom politycznym.



Zgon zasłużonego obywatela: Sp. Aleksander hr. Skarbek, poseł na Sejm ustawodawczy.

Urodzony w r. 1874., po ukończeniu studyów wstąpił do służby politycznej przy Namiestnictwie lwowskiem, równocześnie oddając się gorliwie życiu społecznemu. Jako członek Rady powiatowej w Rudkach, a następnie jej marszałek, od roku 1906. poseł na Sejm krajowy, a od 1907. do parlamentu wiedeńskiego, rozwinął hr. Skarbek nader owocną działalność, jako jedyny cel mając dobro kraju i jego ludu, którego też zaufanie posiadł w pełnej mierze. W warszawskim Sejmie ustawodawczym pracował również gorliwie, zyskując sobie ogólne uznanie.

Krótko a dosadnie scharakteryzował zasługi Zmarłego w swem żałobnem przemówieniu marszałek Sejmu, Trąmpczyński. Przemówił on w Izbie w te słowa:

„Przed kilku godzinami śmierć zabrała nam kolegę Aleksandra Skarbka. Schodzi z nim do grobu postać ściśle związana z dziejami odrodzenia Polski. Trudno w kilku słowach określić ten żywot pracy i poświęcenia dla kraju, ale żywo tkwi nam w pamięci, jak to on po wybuchu wojny światowej, prześladowany przez rząd austryacki działał w Szwajcaryi dla niepodległości Polski. Gdy powrócił do kraju w r. 1918, jako członek Komisyi Likwidacyjnej, położył wielkie zasługi. Najpiękniejszą kartą jego życia, to dzieje oblężenia i odsieczy Lwowa, kiedy zorganizował obronę i siłą swego charakteru podkreślił małoduszny zamiar oddania miasta.

Służył jednak krajowi nietylko pracą i poświęceniem osobistem, ale także majątkiem. On pierwszy z obywateli ofiarował 1.000 morgów ziemi na inwalidów, a większą część swych dochodów poświęcał na cele społeczne.

W Sejmie wyrobił sobie opinię gorliwego i zdolnego pracownika, a prócz tego i szlachetnego męża, który cieszył się szacunkiem wszystkich stronnictw. Pamięć tego niezwykłego człowieka pozostanie na zawsze niezatarta w naszych sercach". Uzupełnieniem powyższego przemówienia jest testament hr. Skarbka, świadczący chlubnie o jego miłości kraju. Jest to wspólny testament obojga małżonków, sporządzony na przeżycie, t. j. w ten sposób, że majątek pozostaje w ręku męża lub żony w razie śmierci jednego z małżonków, a dalsze postanowienia testamentu wchodzą w życie dopiero po śmierci obojga. Otóż wspólny ten testament przekazuje cały majątek małżonków Skarbków skarbowi Państwa Polskiego. Jest to około 8000 hektarów ziemi, oprócz tego zakłady przemysłowe i inne przedsiębiorstwa. Testament sporządzony był w 1920 r. i wobec tego, że sprawa przynależności państwowej Wschodniej Małopolski nie była jeszcze wówczas ustalona, zawiera klauzulę dodatkową, że w razie, gdyby Państwo Polskie nie było władne w tych ziemiach, majątek stałby się własnością konsystorza rzymsko-katolickiego w Przemyślu, z obowiązkiem stworzenia fundacyi pod nazwą „Opatrzność" na cele dobroczynne, a w szczególności na wychowywanie podrzutków w narodowości polskiej i w wyznaniu rzymsko-katolickiem.

Sp. hr. Skarbek osierocił żonę Felicyę ze Szczepańskich primo voto hr. Fredrową, potomstwa nie pozostawił. Zwłoki Zmarłego złożono na cmentarzu „Obrońców Lwowa".

Cześć pamięci obywatela, który gorąco kraj ukochał i całe swe życie poświęcił jego służbie!

Pogrzeb sp. hr. Skarbka, który się odbył w dniu 3. czerwca b. r. przemienił się w wspaniałą żałobną manifestacyę narodową przy udziale nieprzeliczonych tłumów, deputacyi i sporego zastępu posłów sejmowych, przybyłych umyślnie z Warszawy dla oddania ostatniej posługi zmarłemu koledze. Licznie reprezentowaną była ludność włościańska, zwłaszcza z powiatu rudeckiego i deputacye prawie wszystkich miast Wschodniej Małopolski. Lwów godnie pożegnał swego obrońcę, a z nim cała Polska najlepszego swego Syna.



Zgon zasłużonego obywatela: Duchowieństwo w orszaku pogrzebowym śp. Aleksandra hr. Skarbka we Lwowie w dniu 3 czerwca b. r. Fot. M. Münz, Lwów.

Po nabożeństwie żałobnem, odprawionem w kościele O. O. Bernardynów i egzekwiach odśpiewanych przez ks. arcybiskupów Bilczewskiego i Teodorowicza oraz biskupa ks. Twardowskiego, wyniesiono trumnę z kościoła, a z mownicy pożegnał Zmarłego imieniem marszałka Sejmu i kolegów partyjnych dr. Głąbiński, imieniem miasta wiceprezydent dr. Stahl. Następnie ruszył imponujący swymi rozmiarami pochód żałobny na cmentarz „Obrońców Lwowa", gdzie nad otwartą mogiłą przemawiali kolejno: brygadyer Mączyński, członek Związku Obrońców Lwowa Tomaszewicz, kapitan Petry, włościanin powiatu rudeckiego Sydor, kolejarz Gogoł i akademik Bertoni. Wszystkie przemówienia tchnęły żalem, wywołanym tą bolesną dla narodu stratą i uznaniem i wdzięcznością dla prawdziwie obywatelskiej działalności Zmarłego.



Zgon zasłużonego obywatela: Rodzina śp. Aleksandra hr. Skarbka, posłowie i delegacye za trumną ze zwłokami Zmarłego. Fot. M. Münz, Lwów.

Tydzień Harcerski w Krakowie.

Najgłówniejsza część programu „Tygodnia Harcerskiego" przypadła na ostatnie jego dni, są to popisy drużyn, zawody o mistrzowstwo Chorągwi i prace w warsztatach.

W piątek 2 czerwca b. r. zjechało sporo drużyn z prowincyi na popisy i zawody. Po południu o godzinie 4 tej w obecności przedstawiciela Naczelnej Rady Harcerskiej dra Tadeusza Strumiłły i prezesa oddziału krakowskiego prof. Stefana Surzyckiego otworzono obóz harcerski na Małych Błoniach, gdzie harcerze przez trzy dni mieli sposobność wykazać swoją zaradność i zahartowanie. W obozie było przez ten czas przeszło 600 harcerzy.

Wystawa prac harcerskich pokazała społeczeństwu, co harcerze robią na swoich zbiórkach i czem są wogóle zajęci, ale w jaki to sposób robią, to pokazały dopiero ich prace przy warsztatach. W sobotę 3 czerwca harcerki z rana obsadziły dział gospodarstwa kobiecego w Muzeum Przemysłowem,

gdzie ugotowały bardzo smaczny obiad na jedenaście osób, piekły, szyły, haftowały, cerowały. Po południu tego samego dnia harcerze i harcerki pracowali intensywnie przez parę godzin przy warstatach kowalskich, stolarskich, ślusarskich, krawieckich, introligatorskich, piłeczkowych i zdobniczych. O ile się doda, że przy tych warstatach pracowały prawie dzieci i ci, którzy zawodowo tych rzeczy nie robią, to dopiero się zrozumie zasady samowystarczalności i szybkiej oryentacyi, na które harcerstwo kładzie wielki nacisk.

Harcerstwo i sportu nie pomija.

W niedzielę odbyły się popisy drużyn i zawody o mistrzowstwo Chorągwi. Z pośród drużyn, które stanęły do zawodów o mistrzowstwo Chorągwi, najbardziej wyróżniły się piąta drużyna krakowska i pierwsza tarnowska.

W program zawodów wchodziły: Bieg rozstawny (sztafety), skoki w dal, rzut kulą, skok przez poręcz, sygnalizacya, szkic kartograficzny z terenu i inne. Niepogoda przeszkodziła w ostatnim zawodzie w grze harcerskiej. Drużyna, która zwyciężyła w popisach, dostarczyła najlepszych eksponatów na wystawę, staje się mistrzem Chorągwi i otrzymuje, jako nagrodę, sztandar Chorągwi, który będzie nosiła na wszystkich uroczystościach przez cały rok, aż do następnych zawodów.

Tydzień Harcerski zakończył się mszą św. w Sokole (z powodu niepogody) i defiladą drużyn przed przedstawicielami władz harcerskich, wojskowych, uniwersyteckich i komunalnych, która odbyła się przed Uniwersytetem.



Tydzień Harcerski w Krakowie: Grupa harcerek i harcerzy w obozie na Małych Błoniach.

Sąd nad niemieckimi opryszkami.

Górny Śląsk był w ciągu okupacyi przez wojska międzynarodowe widownią ustawicznych niepokojów, organizowanych przez bojówki niemieckie, a mających na celu steroryzowanie polskiej ludności. Ataki niemieckie skierowane były także przeciw wojskom francuskim, gdy natomiast Włosi cieszyli się względną, a Anglicy najzupełniejszą sympatyą hakatystycznych bandytów. Niejednokrotnie polała się krew z jednej i z drugiej strony, sprawy napadów górnośląskich były przedmiotem debat w francuskiej Izbie deputowanych i interpelacyi przedstawiciela Francyi u rządu berlińskiego, który stale odsuwał od siebie wszelką winę, tłómacząc się, że o niczem nie wie i obiecując poparcie przy wyśledzeniu sprawców, chroniących się stale po każdym napadzie na terytoryum niemieckie, skąd, jak stwierdzono, szły dyrektywy i poparcie materyalne.

Jednym z najbezczelniejszych napadów bojówki niemieckiej na wojska francuskie był atak, jakiego dokonano w nocy dnia 30 stycznia na budynek szkolny w Piotrowicach (Petersdorf) pod Opolem, dokąd przeniesiono skonfiskowaną w tym dniu znaczną ilość broni i amunicyi, znalezionej w domu pewnego piekarza. Nad ranem zaatakowały budynek szkolny, obsadzony przez Francuzów, dwie uzbrojone bandy. Wywiązała się strzelanina, napastnicy rzucili do wnętrza kilkanaście granatów ręcznych, ostatecznie jednak zostali odparci. W walce z bandytami niemieckimi utraciło życie kilku żołnierzy francuskich, kilkunastu odniosło cięższe i lżejsze rany. Wdrożone natychmiast dochodzenia napotkały na wiele trudności, większość napastników zbiegła bowiem według zwyczaju na terytoryum niemieckie.

Ostatecznie udało się śledztwo przeprowadzić i ująć część winnych, z których ośmnastu postawiono przed nadzwyczajnym międzynarodowym trybunałem w Opolu, który wygotował akt oskarżenia i przystąpił do przeprowadzenia rozprawy. W skład trybunału, pozostającego pod przewodnictwem prezydenta Kastlera, wchodziło dwu sędziów francuskich, dwu oficerów włoskich i jeden angielski. Rozprawę prowadzono według procedury karnej pruskiej, a zakończono ją w dniu 28 maja b. r. odczytaniem wyroku, mocą którego główni oskarżeni skazani zostali na przymusowe ciężkie roboty: Saczek na dożywotnie, Kroemer przez lat dwadzieścia, Wowra i Pitlik przez lat dziesięć. Pozostałych czternastu oskarżonych skazano na lżejsze kary.



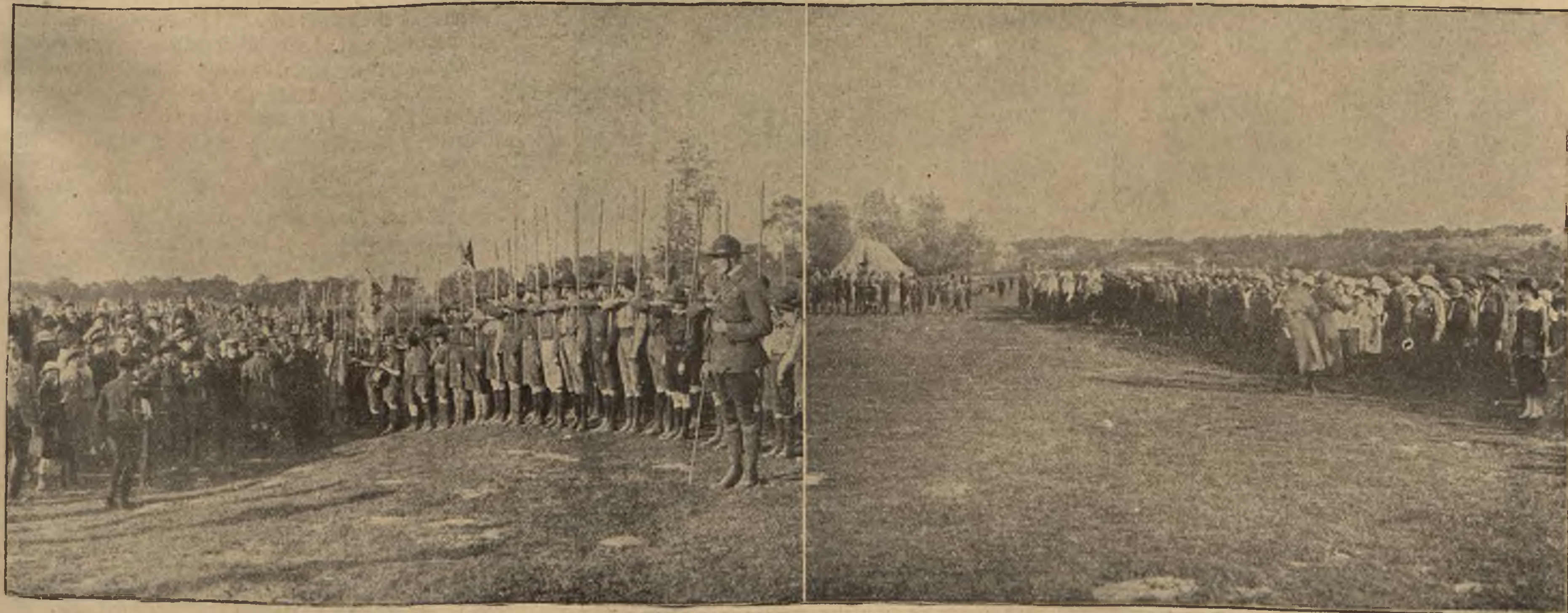
Tydzień Harcerski w Krakowie: Model pociągu na Wystawie prac harcerskich.

Illustracya nasza przedstawia chwilę odczytywania przez prezydenta Kastlera wyroku oskarżonym.

Ofiara własnej nieostrożności.

Lekceważenie przepisów, zakazujących wskakiwania do wozów tramwajowych i wyskakiwania z nich podczas biegu kosztowało już tyle ofiar ludzkich, a jednak nie nauczyło nas dotąd przestrzegania nakazu. W ubiegłym tygodniu była ulica Sławkowska w Krakowie widownią tragicznego wypadku, którego ofiarą stał się skutkiem własnej nieostrożności znany ogólnie artysta skrzypek i kompozytor, Bolesław Raczyński. Wczesną poranną porą opuścił p. Raczyński, przybyły do Krakowa, kawiarnię Grand Hotelu, a widząc nadjeżdżający od strony Rynku wóz tramwajowy — przebiegł na drugą stronę ulicy i usiłował w biegu doń wskoczyć, nie zważając na to, iż jedną rękę miał zajętą płaszczem, teczką i laską, w drugiej zaś trzymał wydaną przez kelnera resztę. Wóz tramwajowy posuwał się ze znaczną chyżością, skok w tych warunkach był zatem połączony z wielkiem niebezpieczeństwem. Ofiara własnej nieostrożności spadła ze stopni tylnego wejścia na bruk uliczny, dostając się pod koła „kuplówki“, która powlokła ją kilkanaście metrów, zanim zdołano wstrzymać motor.

Oczom przechodzących przedstawił się grozą przejmujący widok, pod kołami wozu, w kałuży krwi, le-



Tydzień Harcerski w Krakowie: 1) Przegląd drużyn męskich przy otwarciu obozu. 2) Drużyny żeńskie przy otwarciu obozu na Małych Błoniach w dniu 2. czerwca b. r. przez przedstawicieli Naczelnej Rady Harcerskiej dra T. Strumiłłę i prezesa oddziału krakowskiego Z. H. P. prof. Surzyckiego w dniu 2 czerwca b. r.

żał nieprzytomny, strasznie pokaleczony i wydający bolesne jęki p. Raczyński, a wszelkie usiłowania, ażeby mu przyjść z pomocą, były bezowocne, trzeba było czekać przybycia straży ogniowej, która dopiero po użyciu mechanicznych środków zdołała nieszczęśliwego uwolnić ze strasznego położenia. Przeniesionemu do najbliższej sieni udzielił pierwszej pomocy lekarz pogotowia, który skonstatował głęboką ranę nad lewem okiem, skutkiem czego gałka oczna wyszła na wierzch oraz zniekształcenie prawej ręki, zmiażdżonej powyżej łokcia i odartej z przyskórka. Ponadto ustawiczne krwotoki, ustne i nosowe, kazały wnosić o uszkodzeniu podstawy czaszki. W stanie bezprzytomnym przewieziono p. Raczyńskiego na oddział chirurgiczny Szpitala św. Łazarza, gdzie bezzwłocznie przystąpiono do amputacyi prawej ręki powyżej łokcia. Rana pod okiem, które uważać należy za stracone, skwalifikowaną została również jako ciężka. Od chwili operacyi odzyskuje chory przytomność tylko chwilowo i to niezupełną, nadzieja utrzymania go przy życiu, choć nie jest wykluczoną, jest jednak bardzo słabą.



Ofiara własnej nieostrożności: Artysta-muzyk Bolesław Raczyński, poraniony ciężko przez koła wozu tramwajowego.

Wypadek ten skłoni może władze nasze do występowania z całą bezwzględnością przeciw wszystkim tym, którzy lekceważąc sobie przepisy, narażają samochcąc na szwank jeśli nie swe życie, to przynajmniej zdrowie.



Sąd nad niemieckimi oprzyszkami: Przewodniczący międzynarodowego trybunału w Opolu odczytuje w dniu 28 maja b. r. wyrok skazujący oskarżonym o napad w Piotrowicach w dniu 30 stycznia b. r.

Zakończenie roku szk. w znanej Szkole muzycznej.

Szerzenie kultury muzycznej, to jeden z bardzo ważnych czynników w dziedzinie wychowania. Kierunek ten, leżący u nas dotąd odłogiem, zyskuje sobie coraz więcej zwolenników we wszystkich warstwach społecznych, oceniających należycie jego ważność i znaczenie. W szeregu szkół muzycznych krakowskich zajmuje jedno z pierwszych miejsc Szkoła gry fortepianowej, prowadzona przez prof. Ludwikę Grodzicką, znaną zaszczytnie na polu muzycznej pedagogii, członka Wydziału Polskiego Związku Muzyczno-pedagogicznego, rzeczywistego członka Wszechświatowego Instytutu Nauk i Sztuk Pięknych w Genewie, kierowniczkę i inicyatorkę licznych koncertów patryotycznych i dobroczynnych, niestrudzoną działaczkę na polu pracy społecznej, przedewszystkiem zaś filantropijnej.

Szkoła prof. Ludwiki Grodzickiej daje rokrocznie wykształcenie kilkudziesięciu adeptom i adeptkom. Rok szkolny 1922 ukończyło w Szkole gry fortepianowej prof. Ludwiki Grodzickiej kilkadziesiąt uczenic i uczniów, między którymi spotyka się wiele jednostek, obdarzonych prawdziwym talentem muzycznym i rokujących najświetniejsze nadzieje na przyszłość. Frekwencya zakładu wzrasta z roku na rok, co świadczy chlubnie i wymownie o uznaniu, jakie potrafił sobie zyskać w naszem społeczeństwie.



Zakończenie roku szkolnego w znanej szkole muzycznej Prof. Ludwika Grodzicka w otoczeniu swych tegorocznych uczenic i uczniów.

RENE BURES.

Zil=X...

29 tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Iggins nie wypuszczał z ust fajki. Nie wiem czy myślał, czy też drzemał może, bo oczy miał przymknięte.

W pewnej chwili ujrzałem małe auto zbliżając się ku nam w przyspieszonem tempie. Maszyna zatrzymała się nagle i z wnętrza pudła wychyliła się głowa Daltona. Dał znak ręką. Wsiedliśmy.

— A więc? — zapytał Iggins.

— Słuchajcie — odrzekł Dalton. Wiadomość, że Sangé pomocnik kata został otruty jest prawdziwa. Mieszkał na ulicy Królewskiej, na parterze, w małym pawiloniku, znajdującym się w głębi ogrodu. Żył tam sam, z kochanką swoją i małą dziewczynką. Dziewczynka ta, to córka jego kochanki.

Wczoraj wieczorem, Sangé otrzymał paczkę zawierającą sześć butelek wina. Było to wino burgundzkie. Flaszki nosiły etykiety jednej z większych firm paryskich.

— Jakiej? — zapytał Iggins.

— Nie mogłem się tego dowiedzieć.

— Szkoda.

— Do paczki nie była dołączona żadna kartka, żadna wskazówka. Ten Sangé miał naturę cygańską. Lubił dobrze się zabawić i nie był wcale podejrzliwym. Odkorkował jedną z butelek i wypił wino razem ze swoją kochanką. Dziecku dali także szklankę.

— Ile lat dziecko?

— Ośm. W pół godziny później dziecko zachorowało. Matka zaś zemdlała. Sangé zaś zmarł dopiero nad ranem. Miał jednak na tyle przytomności, że zaczął wołać o pomoc. Nadbiegli sąsiedzi zaczęli ratować ich wszystkich, ale napróżno. Przywołany lekarz zastał tylko już trupy!

— Co dalej? — rzucił Iggins.

Zawiadomiono policyę, która niezwłocznie przybyła. Zabrano resztę pozostałych butelek wina, aby je podać analizie. Zwłoki odesłano do Morgi. Oto wszystko. Aha, jeszcze jedno. Udało mi się zobaczyć tę paczkę, w której przysłano wino. Wysłana była wczoraj z Paryża, pocztą, pospiesznie. Był to stary koszyk po ostrygach.

— Sangé nic nie powiedział przed śmiercią?

— Sąsiedzi nic nie pamiętają... Coś mówił podobno, ale nic godnego uwagi. Skarżył się, jęczał. Widocznie nie podejrzywał nikogo.

— Doskonale. A teraz posłuchaj nas. Czy ty wiesz, mój chłopcze, żeśmy odnaleźli Zila!

— Zila! — powtórzył ze zdumieniem Dalton.

— A więc — rzekł Dalton, kiedy Iggins wtajemniczył go w przebieg wypadków zaszłych przed egzekucyą. — Nikt oprócz Sangé nie znał tego Zila. A Sangé zostaje zamordowanym w sam dzień zniknięcia Zila! To przecież ciekawe!

— Tak, a jeszcze kto wie czy i Zil nie został zamordowanym.

— Jak się o tem dowiedzieć?

— Niech mnie dyabli porwą jeżeli wiem! — mruknął Iggins, marszcząc brwiami. — Jedna tylko osoba, o ile wiemy znała Zila, a ta nie żyje! Może być, że ta kochanka Sangé, wiedziała coś o nim. Ale cóż! Kto nas teraz naprowadzi na drogę tego przeklętego Zila! Wiemy teraz akurat tyle co pierwszego dnia.

— Nawet mniej — odezwał się Dalton. Jeżeli Zil nie żyje, zagadka X-Zil — M. S. — 27.002 zostanie na zawsze nierozwiązaną.

— Kto wie? — rzuciłem.

— Masz co na myśli.

— Możnaby śledzić tego woźnicę, który mówił mi o Zilu.

— To bezowocne. On powiedział już wszystko co wiedział. Ten Zil to ostrożny ptaszek. Musiał mieć do tego powody. Nie pozostawił po sobie żadnego śladu.

— A kat nic nie wie o nim?

— Prawdopodobnie. Sangé przyprowadzał sobie pomocnika, którego opłacał z własnej kieszeni, a kata to nic nie obchodziło. Nie miał potrzeby się tam interesować. Tym sposobem oszczędzał sobie koszta trzeciego pomocnika.

— Ah! — westchnął Dalton. — Ciężko nam idzie.

— Dosyć! — potwierdził flegmatycznie Iggins.

— Trzeba jednakże śledzić dochodzenia policyi co do otrucia Sangé i jego kochanki.

— Można, ale to będzie bez skutku.

Automobil zatrzymał się przed domem gdzie mieszkał Dalton, na ulicy Assas. Człowiek jakiś czekał na nas przed bramą. Ukłonił się Igginsowi i słyszałem jak rzekł cicho do niego.

— 27.002 odnaleziony. Raport numeru 17 jest na górze.

27.002.

27.002 — odnaleziony!

Czy to było możliwe?

Ponury i milczący służący Daltona przyjął nas jak zwykle niechętnie i wręczył swojemu panu dużą kopertę.

Kiedy wyszedł, Dalton rozerwał papier i głośno czytać zaczął przysłany raport. Słuchaliśmy go z zaciekawieniem.

Raport ten tak cenny dla nas, przepiszę tu w całości:

— „Numer 17 do pana Igginsa.

„Ankieta uczyniona, tycząca się osoby Barnaby Hoddeur szofera Jerzego Dambleuse.

Rezultaty poprzednich dochodzeń:

— Barnaba Hoddeur, lat 32, wysoki, bardzo silny, temperament zimny, podpadający gwałtownym wybuchom — alkoholik. Służył przy saperach. Jest szoferem mechanikiem w fabryce automobilów. Umie prowadzić aeroplan. Wyspecyalizował się w tym kierunku. Od dwóch lat w służbie awiatora Jerzego Dambleuse, jako mechanik.

W chwili aresztowania Jerzego Dambleuse, przesłuchiwanym. Odpowiadał jasno i zwięźle sędziemu dając doskonałe zeznanie o swoim chlebodawcy, który był dobrym, hojnym i spokojnym człowiekiem.

Pozbawiony miejsca, musiał porzucić awiatykę, którą kochał do namiętności i aby zarobić na życie przyjął zajęcie szofera. Odtąd jeździ po Paryżu. Policya ma go ciągle na oku.

Nowe fakta:

Siedm dni temu wybuchł strajk szoferów miejskich Barnaba Hoddaur nie przyłączył się do niego i nie zaprzestał pracy. Odmówił również uiszczenia zapłaty, wymaganej przez syndykat, od tych pracowników, którzy odmówili uczestniczenia w strajku. Przez tydzień Hoddeur mógł jeździć bez przeszkody. Ale kiedy dziś rano o godzinie trzeciej, kiedy odwoził pasażera z Montmartre na bulwar Pasteur'a musiał zatrzymać się z powodu uszkodzenia maszyny, banda jakichś ludzi uzbrojona w kije i żelaza napadła go i rzuciła się na niego. Jakiś czas opierał się napaści — lecz w końcu został pokonany i rzucony na ziemię.

Kiedy udało się mu powstać, napastnicy poraz drugi rzucili się na niego. Hoddeur wówczas, w obronie życia dobył rewolwer z kieszeni i strzelił trzykrotnie. Zranił jednego napastnika w ramię, drugiego w biodro. Trzeciego zabił kulą, która trafiła w głowę.

To wszystko zeznał pasażer, który przez cały czas bójki nie wychodził z zamkniętego auta, w komisaryacie policyi, dokąd ajenci przyprowadzili go wraz z szoferem. Napastnicy należeli do strajkujących.

Lecz kiedy w komisaryacie obejrzeć chciano rewolwer Hoddeur, tenże go już nie miał przy sobie. Powiedział, że prawdopodobnie go zgubił w bójce, ale nie pamięta w jakiej chwili. Być może, że upadł mu po wydanych strzałach, lub lub też w drodze do komisaryatu wypadł mu z kieszeni.

Rzecz ta wydała się policyi podejrzana.

Wysłano ajentów na to samo miejsce z rozkazem przeszukania ulic odnośnych, lecz nic nie znaleziono. W automobilu również nie znaleziono zguby. Tylko jeden z ajentów zauważył, że blizko miejsca, gdzie Hoddeur napadnięty został, znajduje się otwór ścieku kanałowego. To go zastanowiło. Zrodziło się w nim podejrzenie, że rewolwer do tego otworu rzuconym został.

Poczyniono poszukiwania.

Rewolwer znaleziono i odniesiono do biura komisaryatu, gdzie zatrzymanym został Barnaba Hoddeur.

Rewolwer ten jest to browning 9 milimetrowy. Mogłem go obejrzeć.

Numer na nim wybity jest 27.002.

— Barnaba Hoddeur zaprzeczył temu, iżby to on rzucił broń do ścieku. Powiada, że prawdopodobnie wpadł tam przypadkowo. Ale, że w chwili napadu oddalonym był kilka metrów od tego miejsca, niepodobna uwierzyć w wypadek taki.

Barnaba Hoddeur przyznaje zresztą, że browning ten z numerem 27.002 jest jego własnością. Zapytany o miejsce gdzie kupował ten rewolwer, zawahał się i przyznał w końcu, że zabrał go z aeroplanu Jerzego Dambleuse, gdzie był zamknięty, w małem pudełeczku skórzanem. Rewolwer ten miał Hoddeur zamiar zwrócić swojemu chlebodawcy, gdy tenże opuści więzienie.

Barnaba Hoddeur został aresztowanym".

Kiedy Dalton skończył czytanie tego cennego dokumentu, spojrzeliśmy wszyscy po sobie w milczeniu. Mogliśmy tylko teraz osądzać fakta, bo dokładność tego raportu, czyniła nasze śledztwo dalsze niepotrzebnem. Wiedziałem, że Hoddeur od początku sprawy był pod dozorem policyi, tak, jak ci wszyscy, którzy wmięszani byli w ten krwawy dramat, i że dotąd, nie znaleziono nic obciążającego go.

Otóż teraz nagle przez ten rewolwer, noszący numer 27.002 Hoddeur przyłączył się do tego zagadkowego odkrycia, które uczyniliśmy — związany był bliżej może niż się tego spodziewać było można z napisem wyrytym w zegarku kapitana de Limandoux.

I człowiek ten był w słubie Jerzego Dambleuse. I utrzymywał, że rewolwer należał do Jerzego Dambleuse!

Mógł jednak kłamać! Skłamał już raz, twierdząc, że rzucił rewolwer przypadkowo do ścieku kanałowego, kiedy tymczasem, jasnem było, że rzucił rewolwer rozmyślnie, aby go ukryć przed oczami policyi. Ale w jakim celu Hoddeur chciał ukryć rewolwer? Co mu zależało na tem? A może ktoś inny podjął broń i rzucił ją tam, gdzie ją znaleziono? To przypuszczenie było najmniej prawdopodobne! Bo Dlaczegoż obcy jakiś człowiek miałby się interesować browningiem Jerzego Dambleuse? Czyż nie można było teraz twierdzić logicznie, że rewolwer ten naprawdę był własnością młodego awiatora? A przecież Jerzy Dambleuse zeznał zaraz na wstępie, że rewolwer z numerem 103.000, znaleziony przy zwłokach kapitana de Limandoux, także był jego własnością. W takim razie Jerzy Dambleuse byłby właścicielem dwóch rewolwerów.

Numer 27.002, bez zaprzeczenia miał łączność jakąś z robusem X — Zil = M. S. — 27.002.

O zwykłym przypadku i zbiegu okoliczności chyba mowy być nie mogło.

Teraz więc tylko należało się dowiedzieć, kto, lub co kryło się pod literami M. S.

O Zilu wiedzieliśmy tyle zaledwie, że był jednym z pomocników kata. O 27.002, że jest to numer rewolweru Jerzego Dambleuse.

Ale czy wiedzieliśmy co więcej? Czy sprawa przez to postąpiła chociaż krok naprzód?

Jedyną rzeczą, którąśmy zdobyli było nowe obciążenie Jerzego Dambleuse, polegające na wykryciu stosunku jego, istniejącego pomiędzy nim a Zilem i kapitanem de Limandoux. Tą nicią, która ich wszystkich wiązała ze sobą był numer 27.002. Zabójstwo zaś kapitana de Limandoux było wynikiem poprzednich dokonanych zbrodni, lub też osią, około której tamte zbrodnie się ocierały.

Całe popołudnie spędziliśmy w gorączce, nad zastanawianiem się i ważeniem wszelkich hypotez i wniosków najniemożliwszych.

Następny dzień nie przyniósł nam żadnych wiadomości o zaginionym Zilu. Oględziny lekarskie zwłok pomocnika kata, Sangé, kochanki jego i małej dziewczynki, jakoteż analiza pozostałych butelek wina, wykazały niezbicie zawartość akonitu w winie, truciżny nadzwyczajnie silnie działającej zabójczo, przy użyciu miligramowej dozy. Wszelkie jednak dochodzenia, kto wino to wysłał, spełzły na niczem. Jerzy Dambleuse, zapytany przez pewnego pośrednika, oświadczył kategorycznie, że rewolwer z numerem 27.002, nie był jego własnością. Prosił nas przytem, abyśmy go pozostawili w spokoju, nadmieniając, że „okoliczności w tym wypadku, muszą się okazać silniejsze od faktów samych"... Dambleuse zapadał powoli w apatyę jakąś, czy rezygnacyę, nie odzywając się do nikogo, wypalając tylko niezliczoną ilość papierosów.

Barnaba Hoddeur zaś, wypuszczony na wolność po sprawdzeniu, że strzelał w obronie własne go życia, objął dawne swoje zajęcie szofera.

Co do policyi, to ta nie domyśliła się nawet o ważności numeru wykrytego i skonfiskowanego rewolweru. Dla nas tylko ten numer miał ukryte znaczenie.

W trzy dni później dowiedzieliśmy się przypadkiem, że panna de Beaumont wyjechała do Anglii, gdzie miała przepędzić czas jakiś w odosobnieniu zupełnem, a następnie poświęcić się życiu zakonnemu.

Zniknięcie Elmiry Bourdon.

Już przeszło miesiąc trwało nasze tajne dochodzenie w sprawie Jerzego Dambleuse i nie mogliśmy dojść jeszcze do powiązania w całość luźnych, pochwyconych faktów i poszlak przeróżnych.

Dalton, zimny, rozumujący ciągle, zdawał się dosyć cierpliwie znosić to niepowodzenie. Iggins milczał i palił fajkę. Co do mnie, nie byłem tak zrezygnowanym, jak moi towarzysze.

I kiedy odczytuję dzisiaj, aby spisać to opowiadanie, notatki dawniejsze moje, widzę, jak wówczas byłem zdezoryentowany i niepewny własnego sądu o sprawie. Na jednej z kartek przedstawiłem wówczas raz jeszcze wszystkie fakta jeden po drugim... wszystkie poszlaki.

Poszlaka pierwsza:

Dlaczego kula z rewolweru pani de Beaumont znaleziona została w głowie senatora?

Odpowiedź: Pani de Beaumont strzeliła do ojca przypadkowo. Kula uderzyła w senatora wtedy, kiedy on już nie żył. Dalton to wykazał. Z rany ściekła tylko jedna kropla krwi, co było dowodem, że większa ilość krwi wypłynęła już z żył poprzednio.

A więc pani de Beaumont nie chciała zamordować ojca. Wmięszana była w ten dramat przypadkowo.

Poszlaka druga, tycząca się Jerzego Dambleuse: jak wytłómaczyć tę okoliczność, że dwukrotny wyjazd młodego awiatora przypadł na dnie, w których popełnione zostały dwie zbrodnie.

Odpowiedź: Jerzy Dambleuse oświadczył, że w nocy, w której się rozegrał dramat w willi „Bzów“ - znajdował się w Paryżu. Sędzia zbija to twierdzenie. Ale nie może dostarczyć jasnego argumentu. Można uważać alibi Jerzego Dambleuse za miarodajne. Zresztą jeżeli jest on winnym naprawdę — nie on sam jeden poniesie karę tej winy. Winnych było więcej. Ktosię posłużył rewolwerem firmy niemieckiej?

(Dalszy ciąg nastąpi).

HUGON KLEIN.

W międzyakcie

— Czy mogę prosić pana o afisz — na chwileczkę?

— Z przyjemnością.

. . . .

— Dziękuję.

— Drobnostka. Jeślibyś pani potrzebowała jakowych objaśnień, chętnie imiej służę.

— Objaśnień? — Nie. Zapewniłam się tylko, że przedstawiający króla Filipa istotnie jest tym panem, którego niedawno na ulicy widziałam. Wtedy wyglądał tak młodo! Jakże to musi być okropnem, gdy młody człowiek spojrzawszy w zwierciadło, ujrzy nagle stare oblicze i przy niezaprzeczonem podobieństwie zawoła: to ja — ja rzeczywiście! Za wszystkie skarby świata nie chciałabym doznać tego uczucia!

— Wielu podobne przeobrażenie znachodzi nader zajmującem.

— Ja nie.

— Panie rzadko są w tem położeniu. Ledwo kiedyś się zdarzy, że muszą na scenie „robić się staremi“, zwykle bowiem jest ich obowiązkiem występować tam w czasie młodości. A obowiązek ten potem przenoszą w życie powszednie.

— To mi się podoba — lubię być młodą.

— A jeszcze więcej pani młodość polubisz, jak będziesz starszą, bo faktem jest, iż dopiero gdy wiek nam zajrzy w oczy, umiemy cenić wartość młodości.

— Tego w żaden sposób nie możesz pan wiedzieć z doświadczenia!

— Dlaczegóż nie? Przecież i ja byłem młodszy. W dwudziestu ośmiu latach...

— Jest się jeszcze młodym. Mężczyźni nawet nie potrzebują być młodszymi. Byłoby właśnie sprawiedliwem, żeby z dwudziestoma ośmioma latami na świat przychodzili.

— Nie wszyscy byliby z tego zadowoleni. Ja sam poniósłbym strat nie mało, a nasz król Filip tam na scenie nie egzystowałby jeszcze.

— Istotnie? Czy jest tak młodym?

— Dopiero na wiosnę skończy dwadzieścia dwa lat.

— Znasz go więc pan dokładnie? Jesteś obznajmiony ze stosunkami teatralnemi?

— Trochę.

— Często bywasz pan w teatrze?

— Tylko w zimie. Jestem właścicielem ziemskim i cały rok z gospodarstwem mam do czynienia. Dopiero w zimie, gdy roboty są ukończone, przybywam na kilka miesięcy do stolicy. Ale dziwi mnie, że pani nie znasz przedstawiciela króla Filipa — jest to bardzo lubiany aktor.

— Być może — lecz ja pierwszy raz widzę go na scenie. Musisz pan wiedzieć, że prawie nigdy nie bywam w teatrze; tak, raz tylko byłam na operze na przedstawieniu „Czarodziejskiego fletu“ — a „Don Carlosa“ pragnęłam widzieć za jaką bądź cenę.

— Zatem jest to druga bytność pani w teatrze?

— Tak jest!

— Istotnie? Jakże to być może?

— Mój ojciec jest radcą w ministeryum. Pensyę ma niemałą, ale jeszcze prócz mnie sześć córek i dwóch synów posiada. Pojmiesz pan łatwo, trzeba się oszczędzać. Lękamy się strasznie wysokich cen teatralnych, a na operę chodzimy tylko wtedy, gdy tato awansuje.

— Rozumiem.

— Właściwie niestosownem jest, że zdradzam panu nasze stosunki domowe, ale zdaje mi się jakoś tak, że pan nie jesteś obcym i że wszystko muszę panu powiedzieć, co mi przejdzie przez głowę.

— Bardzo uprzejmie! Wszelako jakże się stało, że...

— Że jestem dzisiaj tutaj? Czyż to także mam panu wypaplać? A więc, jakkolwiek ciężko mi: jestem tu w sekrecie.

— Tak?

— Rzeczywiście! Musiałam raz widzieć „Don Carlosa“. W tym celu z drobnych oszczędności składałam grosz do grosza, krajcar do krajcara, aż zebrała się suma odpowiednia na kupienie biletu. Ach! panie! plan ten zajmował mnie tygodniami całymi. Jakże sobie dokładnie wszystko wyobrażałam! Jak wymknę się cichutko z domu do teatru! Jak odkryciem mej nieobecności rodzice się przerażą, siostry zmartwią, bracia zaś do wszystkich krewnych i znajomych zostaną wysłani. Zdawało się to być tak zajmującem! Lecz teraz — — —

— Teraz?

— Teraz mi przykro, uczułam już pewien rodzaj skruchy, wychodząc z domu.

— Aha —

— Postąpiłam nierozważnie.

— Zapewne.

Rodzice i rodzeństwo będą o mnie bardzo niespokojni. Coś podobnego jeszcze się u nas nie wydarzyło. Ojciec niezawodnie się zgniewa.

— Słusznie.

— A potem poruszać się w tym tłumie, między tylu ludźmi, iść sama do domu ciemnemi ulicami tak daleko! Oh! byłam nader lekkomyślną.

— Nie przeczę.

— I pan także?! Nie będę już mieć żadnej przyjemności w słuchaniu ulubionej sztuki. Żal i skrucha zatruły mi radość całą. Dziewczyna przecież godną jest pożałowania!

— Oczy pani pływają we łzach, nie powinnaś brać rzeczy tak serio. Dopomogę pani w jej ciężkiem położeniu.

— Jakimże sposobem?

— Przedewszystkiem odprowadzę panią do domu i w wszelkich wypadkach będę jej obrońcą. Ażeby ojciec się nie gniewał, wejdę w grono rodzinne.

— O! toby był piękny środek!

— Nie wierzysz pani?

— Młodego mężczyznę mieć za towarzysza! Sprawiedliwy Boże! Ojciec byłby w stanie mnie z domu wypędzić!

— Proszę, proszę. Ej, już ja go uspokoję.

— Nie bardzo ufam temu!

— Przemówię do niego poważnie. Powiem, że szczęśliwy wypadek sprowadził mnie do pani, że byłem jej opiekunem i że nic złego pani się nie wydarzyło. Poczem dodam, że wdzięki jej, świeżość młodociana i urocza otwartość zrobiły na mnie głębokie wrażenie i w zakończeniu tego wieczora jeszcze poproszę o śliczną rączkę. To przecież ojca rozbroi! Jakże?

— Cóż za pomysł! Umrzeć można ze śmiechu! A gdyby pana wzięto za słowo?

— Nie skarżyłbym się wcale. Oczywiście podobny proceder nie załatwia się tak szybko. Lecz cóż ojciec pani odpowiedziałby na moje oświadczenie?

— Rozważmy to.

— Dobrze! Może powiedzieć: „Mój panie, nie podoba mi się nagle wybuchający ogień słomiany, żałuję więc, że prośby pańskiej przyjąć nie mogę“. Czy tak?

— Hm — nie wiem. Ojciec siedmiu córek rzadko powie coś podobnego.

— Doskonale! Zatem prawdopodobnie tak odpowie: „Mój panie, rozstrzygnięcie tej sprawy zależy od mojej córki“. Wtedy pani zdanie swe wyrazisz.

— Istotnie! Tak być może.

— Wówczas pani znowu będziesz mogła różności prawić. Przedewszystkiem możesz oświadczyć, że podobam się pani bardzo jako rycerz i towarzysz, ale nie jako małżonek. Poczem ubolewając nad losem moim, oddalę się z pełnym szacunku ukłonem.

— Za komedyę, którą chcesz pan grać z moim biednym ojcem, zasłużyłbyś, żebym całkiem coś innego wyrzekła.

— Istotnie! Możesz pani powiedzieć także coś innego. Możesz naprzykład rzec: „Ten pan Berchthold, gdyż nazywam się Gustaw Berchthold, nie zrobił na mnie złego wrażenia. Ale żeby podać mu rękę na życie całe, musiałabym go bliżej poznać“. Gdy pani to powiesz podług wszelkiego prawdopodobieństwa, ojciec zmieli mnie do częstych odwiedzin i ja za zasługę, jaką dziś pani wyświadczyłem, będę mógł kilka razy cieszyć się jej miłem towarzystwem. Po czterech tygodniach dozwolono będzie pani moje starania odrzucić.

— Zatem musi się stać jedno z dwojga?

— O! nie! — Prócz powyższych odpowiedzi jest jeszcze trzecia. Możesz pani powiedzieć: „Małżeństwo jest grą na loteryi, a kto już raz rękę w urnę położy, chociażby najdłużej mięszał losy, nigdy nie może być pewnym wygranej. Dlatego z tym panem Berchthold szybko chcę skończyć. Może los, który z nim wyciągnę nie będzie pustym. Wprawdzie do największej wygrywającego on nie jest podobny, ale będę zadowoloną, gdy tylko przedstawi się jako secco-terno“.

— Chciałabym widzieć minę pańską, jak to wyrzeknę.

— Uciechę tę łatwo sobie pani możesz sprawić, przyczem uszczęśliwisz mnie niewypowiedzianie.

— Czy teraz mówisz pan seryo?

— Zupełnie seryo! Jużem wymienił niezrównane przymioty pani, które serce moje podbiły.

— Czyż istotnie zrobiłam na panu wrażenie?

— Możesz pani wątpić?

— Ależ pan z początku nie zwracałeś na mnie wcale uwagi. Inaczej nie byłabym się odważyła przemówić.

— Będę szczerym. Gdy usiadłaś, spojrzałem na panią przelotnie, a ponieważ nie jesteś nadzwyczajną pięknością, nie wpadło mi nic w oczy.

— Przez cały akt nie popatrzyłeś pan na mnie ani razu.

— Czyż się pani gniewasz za to? Proszę, przebacz mi ten grzech wielki! Za pokutę życie całe poświęcę na jej przypatrywanie się.

— Hm.

— Jakąż otrzymam odpowiedź?

— Dość wcześnie dowiesz się pan jej treści.

— Czy to pogróżka?

— Ponieważ nie jestem nadzwyczajną pięknością.

— Bezsprzecznie. Ale mimo to wdzięk pani młodzieńczy, wesołe spojrzenie dobrych oczu, filuterny śmiech każdego musi oczarować.

— Chcesz pan pokryć niegrzeczność swoją.

— Chcę panią podziwiać całe życie. Czyż mnie odtrącisz?

— Może.

— Lub może zrobisz nadzieję pomyślnej odpowiedzi?

— I to możebne.

— Albo przyjmiesz oświadczyny?

— Rzecz wymaga rozwagi.

— Niepewność ta jest torturująca! Czuję, że odmowa dotknęłaby mnie boleśnie. Nie odważę się starać o panią. Lub — możeż się odważyć?

— Odważyć — ośmielić, można się zawsze!

— I pani śmiejesz się przy tych słowach — spoglądasz na mnie tkliwie. O! droga — luba narzeczono moja! Jesteś....

— Pst — kurtyna się podnosi!...

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.

(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

9)

Wypadło im minąć Plac Rewolucyi. I oto rzeźbiarz w pomroce wieczornej ujrzał tu naraz własne dzieło — w sposób bestyalski zniszczone przez wandalów.

Nie potrzebował większego światła, by zobaczyć wszystko.

Wspaniały jeździec na rumaku — stanowiącym chlubę dłuta Nelina, był jakąś bryłą bezkształtną.

Wszystko, co poza kadłubem sterczało, a dało się pogruchotać, poobtłukać — zniknęło.

To samo w cokole, na którego czterech bokach mieściły się w płaskorzeźbie cztery alegoryczne obrazy wojny.

Gdyby Nelin miał dzieci — i gdyby je był nagle ujrzał bez rąk, bez nóg, bez głów... jak to dzieło jego ducha w tej chwili okaleczałe okrutnie... nie byłby odczuł większej boleści.

I naraz znowu słowa z improwizacyi Edwarda wraz z dźwiękami symfonii Zygmunta przeleciały przez myśl artysty... Tym razem zbudziły w nim troskę o wszystkie jego dzieła Sztuki i wszystkie jego zbiory artystyczne.

Tam za miastem na cmentarzu jest cudowne ustronie... jakiś ogród zaczarowany... A w pośrodku niego — sarkofag alabastrowy... Leży — jak żywa — młodziutka dziewczyna... piękna jak marzenie... o twarzy nieziemskiej... o kształtach dziwnie eterycznych... U jej wezgłowia zaś płacze, grając na harfie, anioł.

To arcydzieło dłuta Nelina.

Z niego był najdumniejszy.

Jest to grób pięknej jedynaczki dziwakamagnata, który za ten sarkofag dał rzeźbiarzowi w nagrodę własny pałacyk... cały w marmurach i bronzach... z bezcennemi mozajkami w posadzkach... z przedziwnemi freskami w plafonach... pełen przepychu wschodniego... wymarzone dla wielkiego rzeźbiarza *tuskulum* artystyczne.

Tam Nelin wniósł swoją pracownię i nieobliczalnej wartości swoje zbiory do historyi sztuki wschodniej, której był znawcą niezwykłym i którą od lat kilku wykładał w akademii.

Kiedy go uwięzili czerwoni, odrazu zaproponował władzom, że cały pałac ze wszelkiemi zbiorami oddaje na własność publiczną, byle tylko dano mu ochronę przed grabieżą i zniszczeniem.

Wyśmiano go.

Więc mógł się domyślać, że ci, co przyszli i w mieście rządzą, przemocą rozbiorą po kawałku te skarby Sztuki i ozdobią sobie niemi własne chamskie mieszkania.

Ale kiedy teraz, na miejsce stracenia prowadzony, własnemi oczyma sprawdził, jakiemu losowi uległ jego posąg na placu ulicznym, zadrżał na myśl, co się stać mogło z jego pałacykiem, pracownią i muzeum.

Ale byłby nigdy nie uwierzył, gdyby mu opowiadano, co się tam naprawdę działo od czasu, gdy z rzeźbiarza stał się kanalarzem.

Nie byłby oczom własnym wierzył, gdyby zobaczył, że wszystko, co było dziełem Sztuki, spotkał ten sam los, co jego pomnik na tym placu. Nie byłby nawet mógł dojść, jakich narzędzi używano, by do tego stopnia zniszczyć wszystkie rzeźby i ozdoby artystyczne.

Wszak nie zostało nic całego... już nie obraz w ramach wiszący... już nie fresk na ścianie... nie jedwabna tapeta... nie gobelin... kilim, czy dywan wschodni, które nie tylko rozkradziono, lecz jeszcze w pasy targano... Ale nie została jedna posadzka cała — tam, gdzie ona stanowiła dzieło Sztuki niesłychanej wartości.

Wszak tu w pośrodku salonu na podłodze niecono wieczorami ogniska, by sobie gotować herbatę, a zamiast drzewa i węgli, robiono je z najkosztowniejszych książek bogatej biblioteki.

Wszak kąpiel szykowali sobie żołdacy, a dzisiejsi tego pałacu lokatorzy, używając do zagrzania wody w łazience drzewa z porąbanych mebli, z których każde stanowiło gódzien zazdrości przedmiot muzealny.

Dziw, że jeszcze stał pomiędzy obdartymi z materyi fotelami fortepian, po którego klawiszach wygrywały — zamiast palców — obcasy butów czerwonego gwardzisty.

Gdyby był to widział Nelin, byłby płakał, jakby zbój znęcał się nad jego własną rodziną.

Myśl jego niespokojna błądziła teraz po cmentarzu wokoło sarkofagu z alabastru, a w uszach mimowoli dźwięczały wciąż kompozycye przyjaciół — Edwarda i Zygmunta...

...Tyle duchów... milion duchów... krążą... snują się pomiędzy żywymi... jawią się przed ich oczyma po nocach jak upiory... i nad uchem żywych szepczą:

— To wojna...
— To wszystko robi wojna...
— Słyszycie, do czego zdolną jest wojna.
— Niema kresu... wszystko możliwe dla niej...
— To jej zawdzięczacie...
— Wszakżeście chcieli wielkiej wojny...

. . . .

Właśnie, echem o mury łopocząc bez końca, rozległ się odgłos niedalekiej salwy.

— To kogoś rozstrzelali — pomyślał Nelin... i szedł dalej jednakim krokiem, jak dotychczas, mimo, że czuł, iż to już zapewne kończy się ich droga i że doszli blisko miejsca kaźni...

— Wojna... to tylko wojna... Za chwilę, gdy o te mury odbije się echo wystrzału, pewnie już mnie nie będzie. Ha... cóż... wojna...

...Mniejsza o mnie! Ale mi żal niewymownie tych moich dzieł Sztuki... tych moich zbiorów artystycznych, w które tyle duszy własnej włożyłem...

— Jakżebym chciał to ocalić, jakżebym chciał osłonić, ochronić... by to nie przepadło dla Kultury.

...Tego mi żal... tych moich twórczych pomysłów... tych moich posągów... martwych, a żywych... Tego mi żal...

...A mnie? trudno! Nawet gotów bym... jeśliby mnie o wybór spytano.. oddać w tej chwili życie, gdyby mnie zapewniono, że tamto wszystko da się przez to ocalić przed ich wandalizmem.

Wtem w pobliżu huknęła nowa salwa.

— Teraz na nas kolej zapewne — szepnął wlokący się przy nim stary doktor.

A profesor dodał:

— Szkoda, że rodzina nawet grobu nie odnajdzie.

Rzeźbiarz zaś na to westchnął głośno.

— Ha, wojna... wszak chcieliście wojny.

— Tak — odparł chemik — to w istocie sprawia wojna... To te opary krwi...

— Co? — zapytał Nelin. — I ty, profesorze, jesteś tego zdania, co nasz poeta?... pamiętasz?...

Zamilkli, bo się konwój ustawił i trzem skazańcom miejsca odrazu wyznaczył. W tę noc bowiem — dla pośpiechu — nie robiono ceremonii z kopaniem mogił... i masowo rozstrzeliwanych zostawiano nie pogrzebanych.

Lekarz zapytał, czy dadzą znać rodzinie. Lecz komendant konwoju roześmiał się głośno, cynicznie:

— Jak salwa huknie, to tam, stary, wasze dzieci powinny się zbudzić w łóżkach... No... raz, dwa, trzy! chłopcy, do roboty... Pal!

VIII.

Iza zaledwie zdążyła ukryć się za węgłem, gdy jeden z sześciu żołnierzy, którzy się rozbiegli, zawrócił w jej stronę. Był to młody chłop, potwornie brzydki, z rudym zarostem w kształcie capiej bródki.

Przystanął, rozejrzał się, jeszcze parę kroków postąpił — i za ramię brutalnie ująwszy Izę, pociągnął ku sobie.

— A ty!... to my ciebie wzięli za upiorzycę... a ty tu... Poczekaj... doślaniesz!... hej, towarzysze, wróćcie się!

Ale z jego kolegów nikt się ani nie obejrzał. Przepadli w mroku.

A tuż o kilka kroków huknęło kilka strzałów rewolwerowych. To komendant konwoju — co się rozbiegł przed daniem salwy — postanowił własnoręcznie uprzątnąć okulistę i chemika.

Ku niemu więc skierował się rudy żołnierz, ciągnąc za sobą swą brankę.

Profesor i lekarz leżeli już u jego nóg, gdy komendant podniósł wzrok na przyprowadzoną kobietę. Po kilku słowach zrozumiał, co zaszło i gwizdnął głośno.

Nieopodal konwój liczny, złożony z kilkunastu zbirów, uporawszy się z masową egzekucyą, zabierał się do odejścia, gdy go świst zatrzymał. Zbliżyli się, porozumieli, a dwaj komendanci zgodzili się na jedno: że należy tę „białorączkę" zgładzić na miejscu.

— Już nam więcej przeszkadzać nie będziesz w robocie, gdy ci wpakujemy w brzuch wszystkie kule... ile ich tu mamy...

Rudy opowiadał kolegom, jaka przygoda spotkała jego konwój, a jeden za drugim żołdacy podchodzili wśród tego do Izy, szturchali ją, szczypali, a jeden nawet kopnął.

— No, niema się z nią co bawić — zakonkludował komendant liczniejszej ekspedycyi.

Na to jeden z żołnierzy kazał kobiecie rozdziewać się, bo szkoda kulami dziurawić sukni i bielizny, które się jeszcze przydadzą. Pomagano zdzierać z niej wszystko — byle prędzej.

Iza stała już naga, kiedy rudy żołnierz zaproponował:

— Towarzyszu komendancie... może my się z nią przedtem pobawimy... Szkoda tak puścić krasawicę na tamten świat... Jest nas trzynastu... wystarczy dla wszystkich... A potem dobijemy sukę...

Komendant podniósł rewolwer w stronę mówiącego i przy ostatnim wyrazie zamknął mu usta kulą.

Rzygnąwszy krwią — żołdak runął na ciało okulisty.

Koledzy — widocznie wzburzeni — zamruczeli groźnie... Ale rozległa się na to, tonem niezwykle surowym, komenda — i dziesięć karabinów, gotowych do strzału, skierowało lufy, bagnetami najeżone, w stronę piersi pięknej kobiety, która właśnie rozpuściwszy długie bujne włosy, przykryła niemi swą nagość.

— Edi... Edi!... — zawołała głośno — Zygmuncie — szepnęła ciszej.

A wtedy dreszcz zimny przebiegł wszystkich obecnych.

Poruszyli się, wstrząśnięci jakimś niesamowitym lękiem.

Trzy karabiny odwróciły się nagle w bok... padły nierówno strzały, waląc z nóg obu komendantów...

Ktoś strzelił w górę.

Ktoś inny nagle karabin wykręcił w ręce i pchnął się w pierś bagnetem...

Paru żołnierzy uciekało z krzykiem.

A jeden chwycił z ziemi z kupy ubrań płaszcz starego doktora i przystąpiwszy do Izy, okrył ją...

Drugi zaś na kolana upadł przed nią, ręce wyciągnął w górę, potem je załamał, waląc się do jej stóp i ryknął głośno:

— Przebacz! przebacz wszystko! całe podłe życie... pełne mordów i rabunków... przebacz... ty... święta!

I do stóp jej usta swoje przywarłszy, całował w uniesieniu... gdy tamten, który ją płaszczem osłonił, stał na boku z czapką w ręce i raz za razem żegnał się w zabobonnym strachu... a potem poszedł na bok... rewolwer wyciągnął z martwej ręki komendanta... i ruchem błyskawicznym sam sobie w łeb palnął.

Dwaj żołnierze, oparci o karabiny, stali na boku i zapalali papierosy.

— Dyabeł, nie dyabeł...
— Nieczyste siły...
— A coś ty, bracie, zobaczył?
— No... com zobaczył... co i ty... Stanęło dwóch mężczyzn... i zasłoniło ją tak... że ze wszystkiem z przed oka zniknęła...
— Tak i ja widział...
— Dyabeł wie co takiego...
— Wszyscyśmy ich widzieli, a żadnego z nich ani śladu...
— My lepiej idźmy stąd... jeszcze nas tutaj spotka co gorszego...

I rozchodzili się. A za nimi ostatni dźwignął się ciężko z ziemi ten, co ją po nogach całował i powlókł się za towarzyszami.

Izą odziewała się śpiesznie, ale ciężko jej było ruszyć się z miejsca. Nie wiedziała, jak przed siebie krok zrobić, by się nie natknąć na trupa...

Ktoś w krwi jeszcze charczał śmiertelnie... Więc dreszcz przeszedł ją po ciele... zerwała się nagle i uciekła.

Wpadła na Maryę, siedzącą nieopodal w jakimś dziwnym stanie apatyi.

Patrzała przed siebie... coś bąkała niezrozumiale... i dała z sobą robić wszystko.

Iza prowadziła ją teraz po rumowisku, utykając co chwila i z trudem wydobywając się z jakichś niebezpiecznych nor pomiędzy zgliszczami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

„Walkę opiewam, jakiej od lat wiela,
Ani widziało oko Izraela,
Ani słyszały pochopne do zgody
Lechii narody"...

Mimowoli nasuwają się na myśl te słowa poety, gdy się czyta i słyszy o tych tytanicznych zmaganiach w Sejmie Warszawskim, z jakiemi spotyka się na każdem niemal posiedzeniu ostatnich tygodni. Podczas debat nad reformą agrarną i przy uchwalaniu konstytucyi było w sejmie dość ruchu, ale wszystko to jest niczem w porównaniu z tem, co się obecnie dzieje przy wejściu na porządek dzienny sprawy monopolu tytoniowego.

W ostatniej kronice nazwaliśmy to walką myszy i szczurów, godną pióra jakiego nowoczesnego Homera, zasługuje bowiem w całej pełni na uwiecznienie. Niechaj jednak kto nie myśli przypadkiem, że w tym wypadku rozchodzi się obom walczącym stronom, albo bodaj tylko jednej z nich o dobro ogółu, jedynie bowiem interes wchodzi tutaj w grę.

Narodowi tabaczarze, zwalczający namiętnie monopol tytoniowy, bronią tylko swych własnych interesów, ich menerzy, zaangażowani są bowiem poważnie finansowo w przedsiębiorstwach tytoniowych, przeciwna partya mająca z nimi dawne porachunki, stara się im to utrudnić i, gdyby tamci byli za monopolem, ci wystąpiliby znowu jako jego przeciwnicy. Czy jednak państwo odniesie z tego jaką korzyść, czy też wyjdzie na tem, jak Zabłocki na mydle, ich głowa o to nie boli, zadowoleni są, że znaleźli sposobność rewanżu za Dojlidy i inne niesmaczne orzechy, jakie im zgryźć przyszło.

Dzięki obustronnemu zacietrzewieniu i postanowieniu za każdą cenę przeprowadzenia swego zamiaru sejm nasz cieszy się taką frekwencyą w czasie ostatnich posiedzeń, jak nigdy dotąd, nawet gdy kraj w największem był niebezpieczeństwie. Obie strony ogłosiły ogólną mobilizacyę, a na ławach poselskich pojawili się tak rzadcy goście, jak osobniki świecące zwykle nieobecnością, a zgłaszające się jedynie po odbiór dyet i deputatów. Rojno i gwarno na sali sejmowej, wre także w bufecie sejmowym, skąd co chwila ściąga się rezerwy, gdy przyjdzie do decydującego momentu, t. j. do głosowania nad poszczególnymi paragrafami ustawy. Sekretarze sejmowi mają kłopot z obliczaniem głosów, sprawa, która miała się zakończyć w dniu 30. maja przeciągnęła się i na następne dni, w chwili, gdy rozpoczynamy pisanie kroniki, t. j. we czwartek nie wiemy jeszcze w Krakowie o rezultacie ostatecznym, choć należy się spodziewać, że zwycięstwo stanie się udziałem projektu rządowego t. j. iż sprawa monopolu tytoniowego przejdzie ostatecznie w trzeciem czytaniu w myśl przedłożenia rządowego, nieznaczną bardzo większością i z rozmaitemi poprawkami, któremi sypią jak z rękawa narodowi tabaczarze, starając się w ten sposób odwlec swą porażkę. Gdyby tyle energii i zapału, jakie ujawniły się w ciągu debat tytoniowych, zechciano zastosować przy innych, ogół obchodzących sprawach, wyglądalibyśmy zupełnie inaczej, niż wyglądamy obecnie. Taki ks. Adamski lub Lutosławski okazali się tak dzielnymi apostołami antymonopolowymi, iż doprawdy żałować należy, że swych oratorskich zdolności i przekonywujących dowodów nie użyli w innym wypadku, gdy były bardziej na miejscu. Prywatni fabrykanci tytoniowi, choć poniosą porażkę, wyjdą jednak z przeświadczeniem, że mieli dzielnych obrońców, którzy poruszali niebo i ziemię, byle tylko zostało złote jabłko w ich dłoni, bo nie należy zapominać, żz najbardziej zawzięci przeciwnicy monopolu to właśnie akcyonaryusze najrozmaitszych przedsiębiorstw tytoniowych, przynoszących milionowe dochody swym udziałowcom. Wystarczy spojrzeć na listę akcyonaryuszy fabryk tytoniowych *Sarmacia*, *Patria* i innych, aby spotkać się tam z nazwiskami posłów sejmowych, antimonopolistów i nic też dziwnego, że ks. Adamski zyskał sobie wiele mówiący tytuł „pater Patriae".

Walka była zażarta, z obu stron wytoczono działa najcięższego kalibru, fabrykanci tytoniowi poruszyli wszelkie możliwe sprężyny, nie żałowali wydatków milionowych, byle tylko postawić na swojem, bo wiedzieli, że się to opłaci.

Bezpartyjny gabinet Ponikowskiego, któremu przyszło przeprowadzić sprawę monopolową, wyniósł z niej dziwne wspomnienie. Te stronnictwa, które powinnyby właściwie rząd popierać, stanęły przeciwko niemu, ławą zaś za nimi poszły inne, stojące zwykle w opozycyi. Nawet Klub komunistów sejmowych poparł projekt rządowy i to jednogłośnie, t. j. przez usta posła Łańcuckiego, gdyż kolega jego i prezes, Dąbal, nie mógł z powodu nieprzewidzianej przeszkody spełnić swojego obywatelskiego obowiązku. Wina w tem rządu, raczej sejmu, gdyby bowiem w swoim czasie nie wydano sądom posła Dąbala, projekt rządowy o monopolu tyroniowym byłby miał o jednego więcej zwolennika. Mniejszość narodowa głosowała również przeciw monopolowi, a powody, które nią kierowały, były tej samej natury, jak owe, dodające animuszu ks. Adamskiemu.

Z bestronnego punktu, t. j. nie będąc udziałowcem żadnego tabacznego przedsiębiorstwa jeśli się ktoś na sprawę zapatruje, musi przyznoć, że interes ogółu, a w tym wypadku państwa, wymaga, aby monopol tytoniowy został przeprowadzony, jest to bowiem źródło przynoszące skarbowi nadzwyczaj pokaźne dochody, gdy natomiast wolny handel miliony zostawia w kieszeni przedsiębiorców, fundusze państwowe zasilając byle czem. Z tego punktu patrząc na sprawę, należy się też cieszyć, że monopol się utrzymał, z drugiej jednak strony pod adresem jego zarządu trzeba wyrazić życzenie, aby przyjętym na się obowiązkom starał się sprostać, t. j. ciągnąc piękne dochody z n szych kieszeni, dawał nam i też coś za to. Każdy konsument tytoniu, a są ich w Polsce miliony prosi pięknie zarząd monopolowy, aby to, co się nazywa tytoniem, było nim w samej rzeczy, zwłaszcza, że kosztuje tyle. Jeśli monopol nie miałby zamiaru uwzględnienia tych zupełnie słusznych życzeń, palacze czuliby się zupełnie słusznie pokrzywdzeni, gdyż monopol skazuje ich na łaskę i niełaskę jednego uprzywilejowanego fabrykanta, a tym jest rząd, wyklucza zaś wszelaką konkurencyę, która w każdym handlu i przemyśle wyjść musi tylko na korzyść odbiorców. Nie mając konkurencyi, niechaj zatem monopol stara się uwzględnić słuszne żądania odbiorców, tj. niech postępuje inaczej, niż dotychczas, abyśmy nie żałowali, że stawaliśmy w jego obronie. Ostatnią tą uwagę kierujemy pod adresem krakowskiej fabryki cygar, która darzy nas często takimi specyałami, że naprzykład paczka tak zwanego zwykłego tytoniu fajkowego (cena 50 marek), nadaje się zupełnie w tym celu, aby stanowić obostrzenie kary, na jaką skazany zostaje przestępca za popełnienie jakiegoś karygodnego czynu i niedługo trzeba czekać, a usłyszy się z ust przewodniczącego trybunału wyrok następującej treści:

— X. Ypsylona skazuje się na dziesięć lat ciężkiego więzienia obostrzonego ciemnicą, twardem łożem i wypaleniem jednej paczki „zwykłego fajkowego" w dniu spełnienia zbrodni...

Tego rodzaju obostrzenie wpłynie niezawodnie dodatnio na statystykę przestępstw, byłoby jednak pożądanem, aby się bez niego obeszło, a nastąpić to może wtedy, jeżli monopol tytoniowy traktować będzie swe zadania jako uczciwy kupiec, a nie spekulant. Za byłych austryackich czasów mieliśmy sposobność się przekonać, że monopol tytoniowy, prowadzony względnie uczciwie, choć jak wszystko w Austryi biurokratycznie, przynosił skarbowi państwa bardzo piękne dochody.

Z okazyi sprawy monopolu tytoniowego wypada zaznaczyć, że w młodej Polsce panuje dziwna, a poprostu niezrozumiała tendencya wypuszczania z rąk rządowych wszystkich tych przedsiębiorstw, które przy racyonalnem prowadzeniu gospodarki powinny państwu przynosić największe dochody. Monopol tytoniowy, koleje, sól, oto gałęzie administracyi państwowej, które czekało lub czeka przejście w ręce prywatne, rzekomo z tego powodu, iż się w obecnych warunkach nie opłacają. A warto się zapytać, co też może być powodem, skoro z nie tak dawnej jeszcze przeszłości wiemy dobrze, iż nawet w byłej Austryi, która pozostawała stale pod protektoratem św. Biurokracego, wszystkie te przedsiębiorstwa opłacały się należycie i poważnie zasilały skarb państwowy, mimo iż niejednokrotnie zarząd ich pozostawał w rękach nie fachowców, lecz pracowników, którzy w byłej Austryi posiadali wyłączny przywilej na wszechstronne wykształcenie Pokazuje się jednak, że u nas dostały się one widocznie w jeszcze bardziej nie powołane ręce, mianowicie ludzi z tak zwanem domowem wykształceniem, którzy choć zawsze gotowi są do objęcia każdego stanowiska, na żadnem z nich nie umieją sobie dać rady, a pamiętają tylko o samych sobie. Przy takich rządach nic też dziwnego, że najbardziej lukratywne przedsiębiorstwa wykazują stały deficyt, a jedyny środek zaradczy widzi się w oddaniu ich w ręce prywatnego przedsiębiorstwa, najczęściej obcego. A nie musi to być wcale zły interes, skoro do objęcia ich nie brakuje nigdy kandydatów, a ci, podejmując się trudnego zadania nie kierują się przecież, w co chyba każdy uwierzy, chęcią przyjścia państwu z pomocą lecz jedynie swym własnym należycie obliczonym z góry interesem. Jakie dochody przynosi monopol tytoniowy, wnosić można z okrzyków: „Oddaj miliard!...", jakie rozlegały się na sali sejmowej gdy ostatecznie w dniu 1. Czerwca przyjęto ustawę o monopolu tytoniowym.

Prywatni fabrykanci nie byliby z pewnością ryzykowali, gdyby nie spodziewali się, że się im to w krótkim czasie wróci z nawiązką. Zupełnie to samo można powiedzieć o kolejach i eksploatacyi soli, jeśli zatem te przedsiębiorstwa mogą się opłacać innym, nasuwa się pytanie, dlaczego nie dzieje się to, gdy są one w ręku rządowem, a nie trzeba długo szukać na nie odpowiedzi, gdyż i ona nasuwa się sama, że powinno się oddać je w odpowiednie ręce i prowadzić racyonalną gospodarkę, a nie taką, jak obecna, *ut aliquid fecisse videatur*. Jeśli na stanowisku kierownika jakiegoś przedsiębiorstwa znajdzie się osobnik fachowo do tego nie uzdolniony, choćby nawet ożywiony był najlepszemi chęciami, rady sobie nie da, a gorzej jeszcze, jeżli brak mu i tych dobrych chęci, z czem, niestety spotykamy się aż nazbyt często. Ludzi zaś, którzy mogliby pracować skutecznie w owych kierunkach bynajmniej u nas nie brakuje, nie umie się ich jednak lub nie chce poszukać. Dużo się mówi i pisze o odrodzeniu ekonomicznem naszego kraju, ale w takich warunkach, jak obecne, długo na nie będzie się musiało czekać.

Załatwiwszy się z monopolem i z tem co się przy tej sposobności nasunęło pod pióro, przejść musimy także i do polityki. Zewnętrznej damy spokój, obecnie bowiem panuje na tem polu po ukończeniu obrad genueńskich pewien zastój, jedynie ministrowie, którzy brali udział w obradach, zajmują się roztrząsaniem kwestyi, czy konferencya w Genui zakończyła się fiaskiem, czy też osiągnęła jakie pozytywne rezultaty, a prawie każdy z nich, jak się okazuje z wywodów Lloyda Georgea, Benesza i Skirmunta, zapatruje się na sytuacyę optymistycznie i choć zaprzeczyć nie może, że ostatnim wynikiem jej było fiasko, dodaje jednak z miną pewną siebie, iż i to jest sukcesem nielada, łatwo bowiem mogło dojść do katastrofy, którą się jednak szczęśliwie ominąć udało, a Europie zapewniło się względny spokój na ośm miesięcy.

I wewnętrzna polityka nasza nie daje też zbyt wdzięcznego tematu do rozmyślań kronikarskich, po uchwaleniu monopolu tytoniowego w sali sejmowej będzie znów głucho, gdyż posłowie wolą przebywać w swych okręgach wyborczych, aby pracować zawczasu nad obrobieniem swych wyborców i strzedz, aby się przypadkiem jaki wilk nie dostał do owczarni. Nie dziwimy się też „Piastowi", że skorzystaał w echach wyborczych z wypadków poznańskich i ogłosił wszem wobec o rzekomo uplanowanym zamachu na życie posła Witosa, lejąc gorzkie łzy i łamiąc ręce nad losem, jaki zbrodniarze-przeciwnicy polityczni przygotowali byłemu prezydentowi ministrów, kawalerowi najwyższego polskiego orderu, ojcu dzieciom i t. d. Miał to być bardzo ważny atut w grze przedwyborczej, nic też dziwnego, że wypadek ów trochę przejaskrawiono przedstawiając posła Witosa jako nieszczęsną ofiarę pracy dla dobra ludu, która tylko szczęśliwem zbiegowi okoliczności ma do zawdzięczenia, że nie zdobyła sobie palmy męczeńskiej. O zamachu na życie prezesa P. S. L. i mowy nie było, gdyby bowiem każdy tego rodzaju incydent chciało się kwalifikować jako usiłowane morderstwo całe nasze społeczeństwo składałoby się wyłącznie z kandydatów na zamordowanych i ich morderców, niema bowiem między nami nikogo, kto bodajby raz w życiu nie popadł w sprzeczkę z jakiegokolwiek bądź powodu. W Poznańskiem krąży głucha wieść, że była to komedya, zainscenizowana z łona partyi piastowskiej, aby módz potem biadać przed całym światem, ile to cierpieć musi i na jakie niebezpieczeństwa narażony jest obrońca praw polskiego ludu, że aktorzy zbyt seryo pojęli i przeprowadzili swe role i stąd cały kłopot, którzy Bogu dzięki, nie miał żadnych ważniejszych następstw prócz kilku sińców, ale dał dobrą sposobność do wytoczenia armat najcięższego kalibru, skierowanych tym razem głównie przeciw Poznańskiemu.

Nie wierzymy w to, aby miał to być zamach na życie posła Witosa, z niedowierzaniem również powtarzamy pogłoski, szerzone przes poznańskich endeków, mocno przekonani, że i tu i tam jest wiele przesady.



Zlot sokoli w Bielsku.

W gnieździe zwolenników i wielbicieli pruskiej pikelhauby, w osławionem Bielsku, tak geograficznie nam bliskiem, a przecież duchowo od nas tak odległem, odbył się tegoroczny Zlot Sokołów Okręgu Krakowskiego. Na miejsce Zlotu wybrano celowo tę wysuniętą placówkę hakatyzmy, aby przypomnieć jej mieszkańcom, że bezpowrotnie minęły dawne czasy i trzeba się pogodzić z nowymi prądami, które przypominają starą jak świat zasadę, że Bielsko leżało, leży i leżeć będzie na ziemi polskiej i żadna siła zmienić tego nie potrafi.

Dzień 28 maja br. był dla polskich mieszkańców Bielska i jego okolicy prawdziwem świętem narodowem. Niemcy bielscy pogodzili się z przykrą dla siebie rzeczywistością, przyznać trzeba, za chowali się lojalnie, użyczyli nawet Sokołom swego obszernego boiska na ćwiczenia zlotowe, a sami by nie krwawić niepotrzebnie swych prusofilskich serc, urządzili w tym czasie gremialne wycieczki w sąsiednie góry. Do Bielska zleciał zaś kilkunastotysięczny zastęp polskiego Sokolstwa Okręgu Krakowskiego, delegacye Sokołów z Zagłębia Dąbrowskiego i Warszawy, polskie organizacye robotnicze miejscowe i okoliczne oraz Straże ogniowe.

Na rynku bielskim, który był dotąd świadkiem wyłącznie patryotycznych niemieckich uroczystości, odbyła się przed południem msza św. polowa. Przybyły na nią w barwnym pochodzie zastępy Sokole i delegacye, które ustawiły się w wzorowym ordynku. Po mszy św. i podniosłem kazaniu, wypowiedzianem przez ks. Wądolnego z Kęt, odśpiewano rotę, a następnie rozwinął się znown wspaniały pochód. Opustoszał rynek bielski, a stare jego domy i niemieckie na nich napisy powtarzały sobie półgłosem, że ich rola już się skończyła.

Popołudniu odbył się przy wspaniałej pogodzie popis zlotowy na boisku gimnastycznem niemieckich „Turnerów“, a program jego umiejętnie ułożony i doskonale wykonany obudził ogólny zachwyt i podziw. Przewinęły się przed oczyma widza zwinne, tryskające życiem i siłą, oddziały męskie i żeńskie, a każdy punkt nagradzany był salwą długo niemilknących oklasków, jakich nie szczędzili nawet i ci, którzy nas tam niechętnie widzieli, a przybyli pędzeni ciekawością, jakie rezultaty osiągnęło polskie Sokolstwo. Uroczystości zlotowe zakończył piękny festyn przy tłumnym udziale gości i polskich mieszkańców Bielska, który w sercach tak jednych jak i drugich pozostawił niezatarte wspomnienie mile i pożytecznie spędzonego dnia na skrawku polskiej ziemi, uważanym przez nas jeszcze do niedawna za bezpowrotnie dla Polski stracony.



Zlot Sokoli w Bielsku: Grupa „Sokoła“ podgórskiego wyjeżdżająca na Zlot do Bielska.

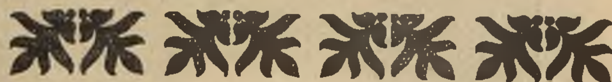
Nad mogiłą młodego działacza.

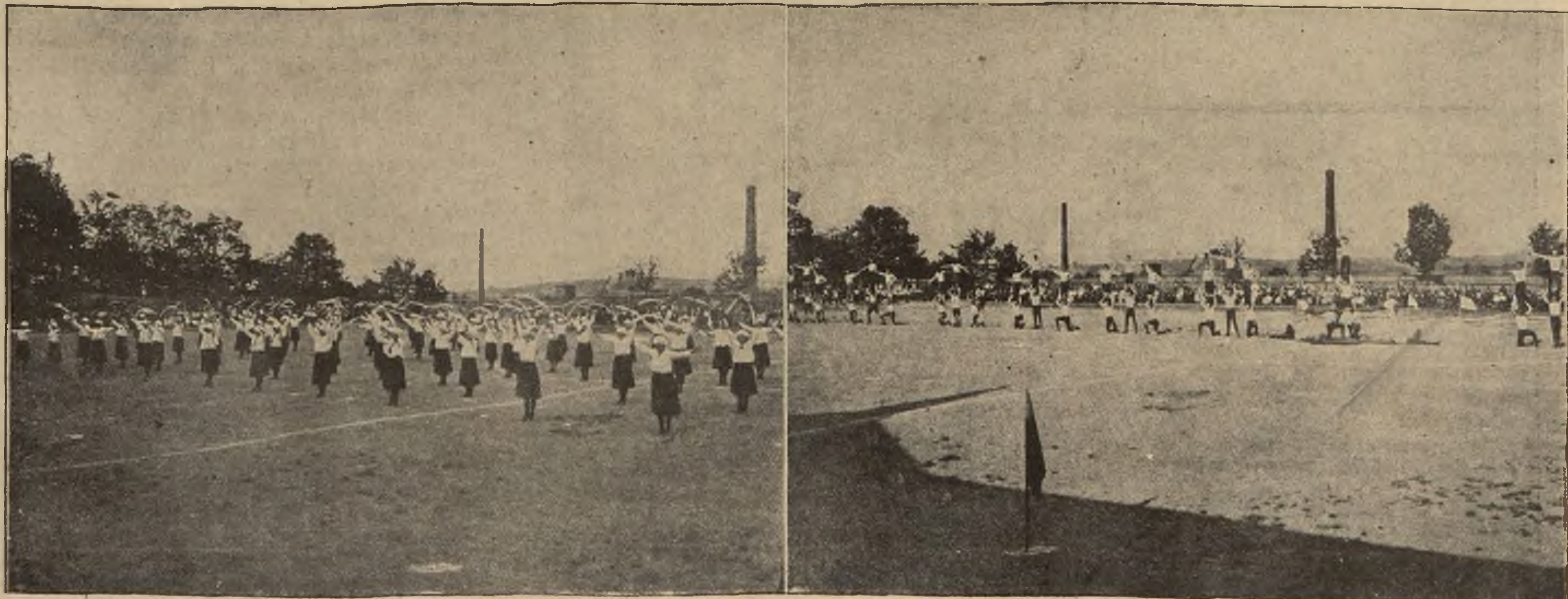
Tragiczną śmiercią zmarł w Krakowie Tadeusz Michalik, wicedyrektor Y. M. C. A. okręgu krak.

W dniu 24 maja zbudziwszy się rano, zaproponował żonie przechadzkę na Błonia. Będąc jeszcze w łóżku sięgnął po rewolwer, mówiąc, że wziąć go będzie trzeba ze względu na wczesną porę i niepewne okolice podmiejskie. W chwili gdy sprawdzał czy rewolwer jest nabity, tenże wypalił i pozbawił go życia. Sp. zmarły liczył zaledwie 26 lat, młodość spędził w drużynach skautowskich, brał udział w wojnie światowej. Po wybuchu zamachu ukraińskiego wstępuje do szeregów Obrońców Lwowa. Po uwolnieniu kraju zostaje przydzielony jako oficer łącznikowy do misyi amerykańskiej Y. M. C. A. we Lwowie, gdzie działalność jego społeczna powszechnie była znana. W roku 1920 jako dowódca kompanii piechoty bierze udział w obronie wschodniej Małopolski przed bolszewicką inwazyą. Następnie po zwycięskiem odparciu nawały bolszewickiej wraca z powrotem do tejże misyi, pełniąc funkcyę oficera łącznikowego we Lwowie, a od roku w Krakowie. Zwolniony z wojska, pozostaje przy Y. M. C. A. okręgu krakowskiego i z zapałem oddaje się pracy społecznej, zyskując w krótkim czasie godność wicedyrektora. Człowiek przeczystych zasad moralnych i etycznych, ideowy pracownik na niwie społecznej, nie doczekał się plonów swego trudu, zrządzenie losu przecięło to młode życie pełne sił i polotu na dalszą przyszłość. Sp. zmarły przedwcześnie osierocił młodą żonę, a społeczeństwo straciło ideowego pracownika, rokującego wielkie nadzieje dla dobra narodu. Sp. Tadeusz Michalik za zasługi, położone w obronie naszej kresowej stolicy, ozdobiony był Krzyżem Obrony Lwowa i odznaką „Orląt“.



Nad mogiłą młodego działacza: Sp. Tadeusz Michalik, wicedyrektor Y. M. C. A. na okręg krakowski.





Zlot Sokoli w Bielsku: 1) Ćwiczenia Sokolic wstążkami. 2) Piramidy druhów.



Uczczenie pamięci amerykańskich bohaterów-lotników: Przemówienie prof. L. Pinińskiego podczas dekoracyi grobów amerykańskich bohaterów-lotników na cmentarzu „Obrońców Lwowa". F t. M. Münz, Lwów.

Uczczenie pamięci ameryk. bohaterów-lotników.

W dziejach obrony wschodnich kresów Małopolski i Lwowa jedno z najpoczestniejszych miejsc zajęła amerykańska VII. eskadra lotnicza im. Tadeusza Kościuszki, której członkowie z takim zapałem i poświęceniem się służyli naszej sprawie, iż społeczeństwo polskie pomoc tę w najkrytyczniejszej dla się chwili zachować musi w wdzięcznej pamięci po wieczne czasy. Dowodów uznania i sympatyi nie szczędzono amerykańskim lotnikom-bohaterom, a stały się one udziałem nie tylko tych, którzy powrócili z walki jako zwycięzcy, lecz także i owych, którzy położyli swe życie w obronie naszych granic i niepodległości.

W dniu 30 maja b. r. odbyła się o godz. 10·30 rano na cmentarzu Obrońców Lwowa rzewna i piękna uroczystość dekoracyi grobu 3 lotników amerykańskich z niezapomnianej pamięci VII. eskadry im. Tadeusza Kościuszki, którzy śmierć ponieśli stając wraz z polskim narodem do walki o utrwalenie niepodległości naszego państwa. Imiona tych trzech dzielnych oficerów-bohaterów wypisane na zawsze w naszej pamięci, to Arthur Kelly, Edmond Graves i Max Callum. O godz. 10·30 zebrali się na cmentarzu Obrońców Lwowa reprezentanci władz cywilnych i wojskowych, dziatwa szkolna z wiązankami rozmaitego kwiecia, oraz reprezentanci misyi amerykańskiej w Polsce. Po obu stronach pięknie udekorowanego grobu stanęła szeregiem wyciągniętym kompania lotnicza, a nieco wyżej muzyka 19 pp. Za pojawieniem się pastora Kesselringa muzyka odegrała hymn amerykański, poczem pastor Kesselring przemówił naprzód po polsku, następnie po angielsku, podnosząc szlachetne przejawy duszy amerykańskiej, które się zaznaczyły w czasie burzy światowej. Następnie przemówił imieniem Lwowa wiceprezydent Stahl również najpierw po polsku a następnie po angielsku, zaznaczając, że pamięć oficerów amerykańskich, którzy na polskiej ziemi śmierć bohaterską ponieśli, pozostanie na wieki niezatartą, a te szczątki, które spoczęły na cmentarzu lwowskim, są nam najdroższą relikwią. Prof. Leon Piniński w przemowie, wygłoszonej po angielsku podniósł, że wdzięczność Polaków odnosi się nie tylko do tych poległych, ale do tych wszystkich bojowników amerykańskich VII. eskadry im. Tadeusza Kościuszki, których pomoc niemało przyczyniła się do zniesienia hord Budiennego. W odpowiedzi przedstawiciel misyi amer. P. A. P. D. p. Gwyn zaznaczył, że naród amerykański jest przeświadczony, iż Polska należycie ocenia działalność amerykańską w Polsce i dlatego misya amerykańska opuszczając nasz kraj z pełnem zaufaniem powierzy groby swoich bohaterów wdzięcznej pamięci narodu polskiego.

Po przemówieniach dziatwa szkolna zasłała kwieciem mogiłę poległych bohaterów amerykańskich.



Uczczenie pamięci amerykańskich bohaterów-lotników: Przedstawiciel misyi amerykańskiej P. A P. D. p. Gwyn oddaje polskiemu społeczeństwu w opiekę groby amerykańskich lotników, których zwłoki spoczywają na cmentarzu „Obrońców Lwowa". Fot. M. Münz, Lwów.



Angielska para królewska na lądzie stałym Europy: Przyjęcie angielskiej pary królewskiej na Ratuszu brukselskim w dniu 10 maja b. r.

Angielska para królewska na lądzie stałym Europy.

Kierunek polityki zagranicznej, rozpoczętej przez zmarłego króla angielskiego, Edwarda VII., i po jego śmierci nie zmienił się wcale, co z zadowoleniem podkreślają pisma francuskie. Nawiązany za życia poprzedniego króla serdeczny stosunek między Anglią a Francyą, zacieśnił się sam przez się jeszcze bardziej, gdy obaj sprzymierzeńcy wyszli zwycięsko z wojny światowej, która zwłaszcza Francyi groziła zupełną zagładą. Pomoc angielska przyczyniła się wielce do osiągnięcia pomyślnych rezultatów, a politycy obu stron widzą dobrze, że wspólny związek obu państw ma dla nich nadzwyczaj wielkie znaczenie i staje się poprostu kwestyą „być albo nie być". I choć od czasu do czasu dochodzą nas rozdźwięki polityki angielsko francuskiej, wywołane rozbieżnością ich interesów, rozum nakazuje węzły zadzierzgnięte przez Edwarda VII., starać się wzmocnić i utrwalić.

Lloyd George z swą polityką nie jest wyrazicielem opinii narodu angielskiego, lecz jedynie jego interesów handlowych, ogół angielski jest za ścisłym związkiem z Francyą, o co w swoim czasie zabiegał usilnie w Paryżu lord Derby.

Stwierdzeniem przyjaźni francusko angielskiej oraz zgody i jedności w łonie Koalicyi była podróż angielskiej pary królewskiej na ląd stały Europy w dniach od 9. do 13 maja b. r. Podróż ta, przeznaczona na odwiedzenie grobów angielskich żołnierzy, poległych na lądzie stałym Europy i spoczywających snem wiecznym na cmentarzach wojennych Flandryi, nad Somną i w d'Artois, miała wprawdzie wybitnie militarny charakter nie była przecież pozbawioną i politycznego znaczenia. Tak

na ziemi belgijskiej jak i we Francyi, gdzie królestwo angielscy zwiedzili najważniejsze pobojowiska i spotkali się z marszałkiem Fochem i jenerałem Castelnau, byli oni wszędzie przedmiotem owacyjnego przyjęcia, a punkt kulminacyjny osiągnęły uroczystości powitalne na cześć angielskich gości w Brukseli. Szczególniej wspaniale wypadło przyjęcie królestwa angielskich w brukselskim Ratuszu, przed którym zgromadziły się wielotysięczne tłumy, aklamujące parę królewską, która ustawicznie musiała się pokazywać na balkonie.

Pobyt na ziemi francuskiej dał królowi Jerzemu sposobność do wymiany bardzo serdecznych depesz z prezydentem Republiki.



Straszna katastrofa budowlana we Lwowie: Prawa część domu przy ul. Krakowskiej l. 8, która runęła około g. 5 rano, pociągając za sobą dwie ofiary z szeregów strażackich.

Straszna katastrofa budowlana we Lwowie.

Do ilustracyi tytułowej i ilustracyi w tekście.

Umysły Lwowian wstrząsnęła głęboko wieść o niebywałej wprost katastrofie budowlanej, jakiej podobnej nie notują kroniki ostatnich lat kilkudziesięciu. Oto późnym wieczorem w dniu 2 czerwca b. r. runął jeden z większych domów przy ulicy Krakowskiej l. 8, własność niejakiego Schönwettera, grzebiąc pod gruzami kilkadziesiąt osób. Stara ta rudera, podobna innym sąsiadkom, opierającym się dotąd jakoś szczęśliwie zębowi czasu, pochodzi z XVII wieku i od chwili jej zbudowania właściciele nie wyłożyli z pewnością ani grosza na jej restauracyę. Przedstawiała też godny pożałowania widok, oglądały ją różne komisye i polecały jej zamknięcie ze względów bezpieczeństwa, ona jednak kpiła sobie ze wszystkich zarządzeń, dając w głównym trzypiętrowym gmachu i oficynach schronisko blisko 200 osobom, należącym przeważnie do żydowskiego proletaryatu. Winę katastrofy ponosi przedewszystkiem właściciel, który nie przeprowadził zarządzonych przez władzę naprawek, a także i budownictwo miejskie, iż nie zmusiło go do tego, ewentualnie nie delożowało mieszkańców.

Krytycznego wieczora, gdy w kamienicy znajdowały się przeważnie tylko kobiety i dzieci, mężczyźni zaś byli poza domem, rozległ się głuchy trzask wiązań, a następnie runęła cała kamienica od dolnych piątr począwszy, grzebiąc pod gruzami kilkadziesiąt osób i zasypując rumowiskiem całą szerokość ulicy, jedynie mieszkańcy trzeciego piętra mieli czas ocalić się, uciekając przez ganek, wiodący do oficyn. Grozę położenia powiększała ciemność nocy, obawa runięcia dalszych części budynku, wydobywające się z pod gruzów jęki przysypanych i kłęby dymu, grożące wybuchem pożaru.

Bezzwłocznie przystąpiono do akcyi ratunkowej, którą podjęła Straż ogniowa i wojsko i prowadziła przez noc i dni następne bez przerwy, usuwając rumowisko i wydobywając z pod niego zabitych i rannych. Do chwili, gdy to piszemy, wydobyto zwłoki 17 osób, kilkanaście ciężej i lżej rannych przewieziono do szpitala. Najstraszniejszy los spotkał rodzinę kelnera Linka, z pośród której zginęło sześć osób, a utrzymała się przy życiu tylko jedna i to poraniona. Na punkcie liczby zabitych i rannych, jak również przypuszczalnej liczby dotąd jeszcze nie odgrzebanych, podają lwowskie pisma bardzo bałamutne wiadomości, dom miał liczyć około 200 mieszkańców, zameldowanych było jednak tylko siedmdziesiąt. Nie wiemy dotąd także, jaki los spotkał właściciela kamienicy, według jednych doniesień został bowiem aresztowany, wedle drugich, umknął z obawy przed czekającą go odpowiedzialnością.

We wtorek wydobyto dwa zniekształcone trupy ofiar, których liczba wynosi dotąd siedmnaście, roboty ratunkowe nie zostały jednak jeszcze ukończone nie jest zatem wykluczone, iż liczba zabitych jeszcze wzrośnie. Pozostałe, a grożące runięciem resztki budynku zwalono, przyczem nie obeszło się również bez ofiar, na szczęście nie śmiertelnych. obeszło się także bez pożaru, mogącego zwiększyć jeszcze nieszczęście, o ile prawdą jest, że w piwnicach znajdowały się składy benzyny. Sąsiednie domy z obawy przed grożącą im katastrofą opróżniono również z mieszkańców.

Z uznaniem podnieść należy bezgraniczną wprost ofiarność i zaparcie się z jakiem lwowska Straż ogniowa i wojsko prowadziły akcyę ratunkową, przechodzącą ich siły.

Wypadek powyższy powinien stać się poważnem *memento* dla naszych władz, tak rządowych jak autonomicznych, iż bezpieczeństwo obywateli powinno być baczniej przestrzegane, niż się to dzieje obecnie. Wpływy takich panów Schönwetterów bywają niestety nieraz potężniejsze, niż najsurowsze zarządzenia władz, nie umiejących, czy nie chcących zabrać się do ich przeprowadzenia.



Straszna katastrofa budowlana we Lwowie: Strażacy przy pracach utrwalenia grożących zawaleniem pozostałych resztek domu przy ul. Krakowskiej l. 8



Straszna katastrofa budowlana we Lwowie: Część zawalonego domu.



Straszna katastrofa budowlana we Lwowie: Gruzy zawalonego domu przy ul. Krakowskiej l. 8. pod którymi znalazło śmierć około dwudziestu osób. Fot. M. Münz, Lwów.



Reklama rozwija handel i przemysł!

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego